Nr. 21. Lwów, 1. listopada 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Opowiadania z wycieczki do Skandynawii i polowania na łosie w r. 1903.

Napisał
Edmund Rylski,
delegat rzeszowski.

Od dawna marzeniem mojem było zwiedzić półwysep skandynawski, a wycieczkę turysty połączyć z myśliwstwem, by spotkać się z najpoważniejszym przedstawicielem cerwidów stałego kontynentu, o którym pisze śp. Spausta:

„Ślad się zatarł w ciemnym boru,
„Kędy stąpał łoś i żubr...“

a w dalszym ciągu, przedstawiając wszystkie czynniki składające się na wytępienie tego olbrzyma, mówi o łosiach „morituri“. Jabym powiedział: „mortuus“ — gdyż dla nas łoś prawie nie egzystuje, a jeśli jeszcze gdzieś na Litwie lub Żmudzi kilka osobników tego rodzaju po kniejach się pląta, to przecież tutejszym myśliwym nie wiele z tego przyjść może. A jednak i tu u nas, w Galicyi, były łosie i to w niedalekiej przeszłości; skoro jednak zaczęto na gwałt trzebić i korczować puszcze i bory, — gdy cywilizacya nowoczesna zaczęła coraz głębiej wdzierać się w tajniki olbrzymich przestrzeni leśnych, nienawiedzanych dotąd chyba tylko przez „rybitwów i woskobojów“, a gdy w dodatku zaczęto w parze z postępem broni, tępić łosia zawsze i wszędzie, uległ tenże — zginął — i nie wróci.

Znałem dotąd łosia z historyi naturalnej i różnych obrazków — widziałem łby łosia wypchane w muzeach itd., a jednak pragnąłem go koniecznie zobaczyć, wiedząc, że się tu nigdzie z nim nie spotkam.

Przyznaję otwarcie, że z ogromną rezerwą czytam wszystkie ogłoszenia dotyczące polowań, w obcych krajach, wychodząc z tego punktu widzenia, że co dobre, to nie potrzebuje reklamy. Pomimo tego wprawdzie z wielką nieufnością, a więcej ciesząc się na zwiedzenie pięknych krajów i miast, wybrałem się w tym roku do Skandynawii.

Zanim przystąpię do szczegółowych opisów mego polowania w Norwegii, na podstawie moich codziennych zapisków, opisać muszę rodzaj tego polowania, gatunku psów używanych w tym celu, terenu, na którym się kampania odbywa i warunków, w jakich się poluje.

Łoś stoi pod bezwzględną ochroną państwa, a ustawa dozwala pewne tylko quantum sztuk łosi w każdym z pojedynczych rewirów odstrzelić. Przez 20 dni w roku tj. od 10.—30. września wolno polować na łosie i w tym czasie strzela się tak łosie, jak i klempy, o ile nie chodzą z cielęciem; kto wykracza przeciwko temu paragrafowi, podlega karze pieniężnej 500 koron (750 K. austr.), z której to grzywny połowa przypada temu, kto zrobił doniesienie. W tym roku bezpośrednio przed moim tam przyjazdem zaszedł następujący wypadek: jakiś Anglik polował z wyżłem na pardwy i przy tej sposobności pies zaatakował łosia rogacza; myśliwy, jak twierdził, we własnej obronie musiał go zastrzelić, i jeszcze tego samego dnia zrobił sam na siebie w tym kierunku doniesienie, że 4 dni przed sezonem zastrzelił łosia. Okazało się przy dochodzeniu, że doniesienie tej samej treści doszło do naczelnika powiatu w kilka godzin po wypadku telefonicznie od przewodnika tegoż myśliwego. Obwinionego uwolniono od winy i kary, gdyż rzeczą notorycznie jest wiadomą, że łoś, zwłaszcza starszy może być dla myśliwego i psa niebezpiecznym, a wypadki takie zdarzają się bardzo często.

Polowanie na łosie odbywa się w następujący sposób: przewodnik prowadzi tropowca na rzemyku do 4 m. długim i idzie zawsze przed myśliwym. Jak długo się nie spotka świeżego tropu łosia, pies idzie zupełnie apatycznie, jakby go nic na świecie nie obchodziło; gdy tylko znajdzie trop lub pod wiatr poczuje łosia, zaczyna przewodnika na pasku ciągnąć za sobą, a im bliżej znajduje się łosia, tem więcej jego niecierpliwość wzrasta, — szarpie silniej rzemieniem, najeża włos na grzbiecie, stawia uszy, jakby pilnie nasłuchiwał, a gdy się jest zupełnie blizko zwierza, pies podchodzi tak samo, jak dobry myśliwy bez szelestu, powoli wychylając się z za skały lub drzew. Gdy pies markuje już bezpośrednią bliskość łosia, myśliwy występuje naprzód i od tej chwili, zaczyna się najtrudniejsza część łowów, tj. samo podchodzenie, wypatrywanie itd., a trudności te rosną, gdy się ma łosia w gęstwinie leśnej, lub maleją, gdy się go podchodzi w terenie skalistym, alpejskim.

Psy są niewielkie, zwykle wilczastej maści, krótkie o szerokiej piersi, łeb przypomina trochę naszego „spitza“, uszy stojące, ogon kilka razy zakręcony, kark obrośnięty grzywą jak u lwa, łapy grube. Pies, który mnie służył, był zupełnie „kusy“ jak sarna, bo go jego pan, a mój przewodnik, za młodu tej ozdoby przy pomocy siekiery pozbawił. Psy te, na pierwszy rzut oka nie bardzo estetycznie wyglądają i nie zdradzają zupełnie tej szalonej intelligencyi, jaką są obdarzone.

Używa się ich wyłącznie do polowań na łosie, lub też do szukania innych czworonożnych postrzałków. Ustawa krajowa wzięła także i tę rasę psów w ochronę, zakazując bezwzględnie importu do Norwegii psów obcych ras, wyjątek zrobiono dla myśliwych obcych, którzy tu w końcu sierpnia na pardwy zjeżdżają; tym wolno przywozić ze sobą setery, lecz tylko płci żeńskiej i to tylko na czas trwania tych polowań.

Teren, który dla siebie na jeden tylko sezon wydzierżawiłem, miał obszaru około 50.000 ha., a na całej tej przestrzeni nie mieszka żadna istota ludzka. W miesiącach czerwcu, lipcu i pierwszej połowie sierpnia wypasano w dwóch miejscach po kilkadziesiąt sztuk bydła i kóz, poza tym terminem zabłąka się tam czasem jakaś grupa rybaków, lub jakiś farmer szukający materyałowego drzewa, lub też wreszcie w sezonie polowań na łosie myśliwy, czasem nawet ze żoną i służbą. Tu w nawiasie mogę śmiało powiedzieć, co od mego przewodnika słyszałem, że niektórzy myśliwi co roku z inną żoną przyjeżdżają, ale za prawdziwość tego twierdzenia nie ręczę, gdyż pomylić się można, zwłaszcza, jeśli się tylko z obcymi ma do czynienia.

Po tem małem zboczeniu wracam do opisu terenu, w którym przeżyłem we wrześniu dni jedenaście i gdzie nie miałem nawet czasu zastanawiać się nad brakiem wiadomości politycznych z kraju, a z moją rodziną porozumiewałem się zapomocą telefonu i telegrafu, gdyż listy potrzebowały 9 dni czasu, by doszły do kraju. Cały rewir miał kształt podłużnego czworoboku i rozciągał się wokoło trzech jezior zwanych „Banksjoë“; jeziora te były dla mnie, dobrodziejstwem, gdyż, jeśli miałem zachodni wiatr, to z polowania wracałem 10 km. czółnem, a przy innym wietrze wyjeżdżałem na polowanie taką, albo i większą drogą po wodzie, co mi komunikacyę bardzo ułatwiało i oszczędzało nieraz bardzo forsownych marszów. Prócz wspomnianych jezior Banksjoë, miałem w rewirze setki mniejszych i większych jeziorek, mnóstwo potoków i strumyków, a wszędzie miliony pstrągów rozmaitej wielkości, lecz jednego gatunku. Zresztą wszystko skaliste, alpejskie góry, miejscami płaty wiecznego śniegu. Najwyższy szczyt, jaki miałem w rewirze dochodził do 800 m., lecz zważywszy, że mieszkałem na wysokości 112 m. nad poziomem morza, więc miałem zaledwie 700 m. do przebycia, by się dostać na grzbiet „Fieldów“. Nie jest to wprawdzie zbyt dużo, a jednak czasem aż za wiele, gdyż teren jest albo bardzo stromy, a jeśli trochę łagodniejszy, to bagnisty, torfowy i pokryty mchami, po których się wprawdzie cicho stąpa, ale głęboko noga tonie i ma się uczucie polowania po naszych błotach na kszyki; — po takich bagnach i torfach ma się odpoczynek, gdy przyjdzie się wspinać po skale, bo tam się czuje przynajmniej jakiś punkt oparcia pod nogami.

Malarz secessyonista mógłby śmiało zbierać tam dziwne wzory dla swych obrazów, gdyż znalazłby trawy łososiowego koloru, niebieskie świerki, (skutkiem, różnych porostów i mchów), czerwono zabarwione fale jeziora przy refleksie zachodzącego słońca, lub też zrobiwszy kilka ołowianych placków na płótnie, mógłby z czystem sumieniem podpisać: „Norwegskie fieldy we mgle wrześniowej“. Nie jestem artystą, więc mnie to nie bardzo interesowało, a że dla myśliwych piszę, więc pomijam opisy różnych wspaniałości krajobrazów i wracam do właściwego celu niniejszego opowiadania.

Wegetacya w tych okolicach w ogólności jest bardzo słaba. Zupełnie nisko nad fiordami widzi się wprawdzie duże przestrzenie leśne, lecz drzewa tam wszędzie nikłe, cienkie i słabe; lasy to mieszanina jodły, świerka, sosny, brzozy, olchy i jarzębiny; wszystko rzadkie, lecz mimo to niedaleko się w lesie widzi, gdyż wszystkie drzewa gęsto gałęziami ubrane. Nie wysoko te lasy sięgają, bo najdalej do 350 m.; nad tą granicą zaczyna się region pełzającej brzeziny — ulubione schronisko pardw i cietrzewi, a jeszcze 100 m. wyżej i brzezina się kończy, a zaczynają swe panowanie mchy rozmaitego gatunku, gdzieniegdzie trochę trawy.

Skały i kamienie, a wszędzie niezamącona cisza, którą czasem przerwie krakanie kruka, lub grzechotanie pardwy skalnej. W takim terenie spotyka się łosia i to w bardzo pokaźnej liczbie. 10. września około godz. 5. popołudniu po całodziennym forsownym marszu, stanąłem z moim przewodnikiem w Jörem Setter tj. szałasie, który mi miał służyć za przytułek podczas polowania. Byłem przygotowany w tej dziczy na wszystkie niewygody; tymczasem zaraz na wstępie bardzo się przyjemnie rozczarowałem. Moja kucharka przyjęła mię doskonałym ciepłym obiadem, który mi wyśmienicie smakował, a przyjemne ciepło w mojej izbie po przemoknięciu do nitki przez cały dzień, zbawiennie podziałało na mój humor. Kwatera moja składała się z jednego dużego pokoju o 2 oknach, w kącie duża żelazna kuchnia, ściany z okrąglaków, poobtykane szczelnie mchem, dach cały nad głową i bardzo wygodne łóżko z czyściutką pościelą, 2 stoły, kilka ławek, pełno gwoździ w ścianach do wieszania broni i ubrań, drzwi z dobrymi zamkami — oto mój pałac myśliwski nad jeziorem Banksjoë. Drugi taki sam barak opodal służył za pomieszkanie mojej służbie, składającej się z przewodnika, kucharki i posłańca, który mię zaopatrywał w świeży nabiał, jaja, chleb i przynosił pocztę.

Wieczorem porozumiewanie się z moim przewodnikiem co do planów na jutro (przeważnie na migi i podług mapy) i zasłużony spoczynek po ciężkim marszu.

11-go września tj. w pierwszy dzień właściwego polowania, wyszedłem z domu o 8-ej godzinie rano, posilony dobrą kawą i zaopatrzony w posilne drugie śniadanie, powraca się bowiem dopiero wieczorem na obiad. Deszcz ustał, lecz dmie silny wiatr zachodni a horyzont cały silnie zamglony; wszędzie mnóstwo wody i rosa na liściach obfita, ale to właśnie najpomyślniejsza pora dla polowania. Około godziny 10-ej pies zaczyna na rzemieniu ciągnąć pod wiatr, tropu nie widać żadnego, zatem tylko wietrzy i prowadzi nas tak w prostym kierunku przez kilka pasm skalistych do godziny $12^1/_2$.

O tym czasie stajemy na grzbiecie ściany, pod nami przepaść, a pies markuje łosia pod naszymi nogami w przepaści. Zaglądnąć do niej nie można, bo śmierć, a strzelić nie można, bo nic nie widzę. Cofam się zatem od niebezpiecznej krawędzi i w wygodniejszem miejscu schodzę na dół w parów i zaczynam podchodzić dla odmiany do góry. Uszedłem tak ostrożnie kilkadziesiąt kroków, gdy naraz zobaczyłem jakąś czarną masę nieruchomą pod urwiskiem skalnem, z podniesionym łbem do góry, wpatrzoną w naszą stronę. Popatrzyłem na łosia przez lunetę osadzoną na karabinie i odkryłem niewielkie rogi widłaka, a że nie wiele ufałem, że długo tak stać będzie spokojnie, nastawiłem krzyżyk w lunecie na 300 kroków i na kulawy sztych spokojnie mierząc, posłałem mu kulę w kark koło łopatki. Efekt kuli był taki, że łoś jakby zdmuchnięty zniknął z horyzontu, natomiast zobaczyłem 4 olbrzymie badyle bijące powietrze jak skrzydła wiatraka. Podszedłem bliżej i dobiłem go drugą kulą, aby mu męki skrócić, poczem przewodnik puścił psa z rzemienia, by tenże pierwszy doszedł do ofiary swego niesłychanie wykształconego zmysłu powonienia.

Szanowny czytelniku, pojmiesz a może i zechcesz uwierzyć, — przecież ten pies od 10-ej rano do $12^3/_4$ prowadził nas ciągle w prostym kierunku pod wiatr do żerującego łosia, uszliśmy zatem pewnie z 8 klm. w ciężkim górskim terenie w prostej linii nie za tropem łosia, lecz tylko za nosem psa, — czy to nie jest dobrą próbą wartości tych psów dla tego rodzaju polowania?! Zastanawiam się nad tem, czyby tych psów nie można użyć do naszych polowań w górach na jelenie, a nawet na rogacze i myślę, że byłyby wielką pomocą dla myśliwego wtedy, kiedy się jeleniom nie chce ryczeć i sfatygowane umilkną nieraz na dni kilka. Pies taki zaprowadziłby z pewnością do każdego jelenia leżącego w bagnie, lub odpoczywającego w wysokich trawach zrębów górskich.

Łoś mój nie był zbyt wielki jak na łosia, lecz w porównaniu z najgrubszym karpackim jeleniem znacznie go rozmiarami i ciężarem przewyższał.

Rogi: zwyczajny widłak, ale wskazywał na to, że za lat kilka mogła z niego być piękna pociecha dla myśliwego, nie mogłem się na to oglądać, a że pewniejszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu, przeszedłem nad przyszłością do porządku dziennego i palnąłem mu w łeb.

Mięsem z tego łosia żyłem przez cały czas mego polowania w Norwegii wraz z całą moją służbą i nie skonsumowaliśmy nawet jednej całej pieczeni, a mięso lepsze, niż „Wiener Rindfleisch“ najlepszej jakości. Zrobiłem z tego łosia kilka zdjęć fotograficznych, niestety nie fotografowałem przedtem nigdy, i fatalnie to wypadło, nie mogę się zatem przed czytelnikiem odbitką pochwalić, a aparat fotograficzny t. zw. kieszonkowy dla Norwegii wyłącznie kupiłem. Może on tam i dobry jest, nie wiem, ale to wiem, że wszystko co fotografowałem, było w rzeczywistości ładniejsze i nie tak fatalnie zamazane, jak na moich fotografiach.

Ucieszony takim rezultatem pierwszego dnia moich łowów, w pysznym humorze wróciłem do domu, z zieloną gałązką za kapeluszem, a całą noc śniłem o apokaliptycznej bestyi, znanej mi dotąd tylko z rycin i opisów a którą dzisiaj nietylko na własne oczy widziałem, ale nawet zabiłem i dostatecznie napasłem oczy widokiem powalonego olbrzyma.

Od 12-go do 14-go września włącznie spotykałem tylko klempy z cielętami lub bez tych, lecz byka nie spotkałem, a polowałem codziennie w innej części rewiru, by tenże należycie poznać i by sobie wyrobić sąd, w których częściach najwięcej klemp przebywa, gdyż to było ważnem dla mnie w obec zbliżającego się rykowiska.

15. września znów przyszedłem do strzału.

Pies mię doprowadził do łosia na 60—70 kroków, w chwili, gdy tenże z największą flegmą obcierał rogi o zwisłe gałęzie świerka. Do tego strzeliłem 3 razy, a po pierwszym strzale nie zrobił już ani kroku, lecz stał i rozglądał się ku górze, skąd strzelałem; dopiero po 3-cim strzale w kark, runął całym ciężarem na chrapy tak, że kilka drobniejszych brzóz połamał, jak nic nie znaczące drobne patyczki. Jedną kulę miał w łopatce, drugą za łopatką wysoko, trzecią w karku i po tej był wylot na drugiej stronie wielkości pięści dorosłego człowieka.

Od 15-go września aż do końca mego pobytu w rewirze panowały ciągle takie upały i cisza w powietrzu, jak u nas w lipcu; to mi naturalnie ogromnie utrudniało polowanie; pies chodził na pasku apatycznie jakby senny i stracił całą ochotę — gdyż ani tropów świeżych nie spotykaliśmy, ani nosem łosi wietrzyć nie mógł, z powodu absolutnej ciszy w powietrzu. Spotkałem kilka klemp w tym czasie, lecz strzelać nie chciałem, aby nie stracić ewentualnie miejsca na byka, liczba bowiem łosi które mogłem w moim rewirze odstrzelić, wynosiła tylko 4 sztuki. 19-go września kąpałem się w jeziorze o $1^1/_2$ w południe a to niech będzie miarą jaki tam upał pano-

wać musiał o tym czasie, i to pod 65° północnej szerokości! Zniechęcony i znużony bezowocnem łażeniem po rozpalonych skałach i wyschniętych mchach, postanowiłem 21-go rano opuścić Jörem i wracać do Vexeth, by tam wsiąść na statek.

Dzień przedtem zamówiłem konie potrzebne do niesienia bagaży, a gdy wszystko było popakowane i gotowe do drogi, ruszyliśmy wszyscy dwoma drogami z powrotem. Konie juczne szły z bagażami drogą wygodniejszą lecz dalszą, ja z przewodnikiem. kucharką i moim posłańcem krótszemi ścieżkami. Około 11-tej, dla krótkiego odpoczynku, posiadaliśmy nad jeziorem Kvernsjö, gdzie mielibyśmy śliczny widok, gdyby nie szalona mgła, która wszystko w około gęstym osłoniła całunem,

Najspokojniej w świecie palę sobie papierosa i dumam nad pięknymi dniami, jakie tu spędziłem, gdy w tem zamajaczyło mi coś nad głową i we mgle poznałem orła. Porwałem śrótówkę, którą miałem pod ręką i posłałem mu nabój Nr. 6, który miałem w lufie na głuszca. Po strzale orzeł zatoczył półkole zachwiał się i runął w dół na sam brzeg jeziora. Nie wielki egzemplarz ale ładnie upierzony, ciemno kasztanowej barwy; wpakowałem go kucharce na plecy i ruszyliśmy dalej. Kilkaset kroków uszedłszy wzdłuż wody ujrzałem zupełnie świeży trop niedźwiedzia a w dalszym ciągu znalazłem ciepły jeszcze pomiot misia.

Kto wie, gdybym do orła nie strzelił, możebym miał przyjemność rozmówić się z niedźwiedziem osobiście, dlatego też na przyszłość sobie postanowiłem, nawet powracając do domu nie strzelać do ptaków, gdyż skały Norwegii, to kraina najrozmaitszych niespodzianek dla myśliwego.

Wiedząc o tem nie strzelałem przez cały czas do mnóstwa głuszców, cietrzewi, pardw i t. d., które na każdym kroku spotykałem, najmniej 50 głuszców mogłem na ścianie mego schroniska powiesić, a nie skusiłem się na strzelanie do nich, aż z powrotem gdy myślałem, że już po wojnie z łosiami, więc i głuszca chciałem zabić, tu mi licho orła nadniosło, i to w najbliższem sąsiedztwie niedźwiedzia.

Skonstatowałem tylko, że tenże przeszedł granicę mego rewiru, zakląłem trochę po polsku, (aby moje otoczenie nie rozumiało) i pociągnąłem dalej. Mgły tymczasem ustąpiły zupełnie i nastało znów gorąco, do którego się miałem czas przyzwyczaić, z tą tylko różnicą, że nareszcie pociągał lekki wschodni wiaterek, co mi zresztą było zupełnie obojętne.

Nie wiem, czy szedłem więcej jak 20 minut od tropu niedźwiedzia, gdy na błocie włażę na zupełnie świeży trop ogromnego łosia, który chyba gdzieś dopiero co przed nami przeszedł z sąsiedniego rewiru. Pomyślałem sobie tak: memu sąsiadowi dopiero co posłałem dużego niedźwiedzia, on mi za to posyła łosia, ciekawym kto zrobi lepszy interes? Robię na miejscu plan z moim myśliwym i staje na tem, że mam sam iść za tropem, gdyż wiatr w plecy z lekka pociąga, a że łoś poszedł na górę w skały, więc można się bez psa obyć, może się uda, a lepiej w pojedynkę podchodzić. Oddaję śrótówkę, biorę od przewodnika Mannlichera, zakładam lunetę i ruszam w drogę omówiwszy przedtem miejsce, gdzie na mnie czekać mają.

Szedłem tak za łosiem $1\frac{1}{2}$ godziny, chwilami trop gubiłem, to go znów znalazłem, nareszcie na skałach zgubiłem go zupełnie, i był to w rzeczywistości podchód już całkiem na ślepo. Z za każdej skały, z każdego pagórka zaglądałem wszędzie jak sroka w kość, ale też i dobrze manewrowałem, gdyż do łosia doszedłem.

Gdy się w jednem miejscu miałem wychylić z za załomu skały — obstupui — zobaczyłem byka kolosalnych rozmiarów pasącego się spokojnie na usypisku głazów pod stromą ścianą w odległości 150 kroków, na drugiej stronie parowu. Wiedziałem że mi nie ucieknie, gdyż o mojej osobie nic nie wiedział; patrzyłem na niego chwil kilka, by opanować emocyę i uspokoić płuca po szybkiem chodzeniu.

Skontrolowałem lunetę, naciągnąłem szneler i oparłszy karabin wygodnie o skałę, posłałem mu kulę w łopatkę; nie drgnął nawet, ani kroku naprzód nie zrobił ale też się nie przewrócił, podniósł tylko sędziwy łeb do góry, jakby był niezdecydowany, co ma zrobić ze sobą; strzeliłem drugi raz mierząc także w łopatkę, a po tym strzale byk na miejscu zawrócił i począł wolnym krokiem ostrożnie i kulejąc schodzić po głazach w dół, ale tak, że mi znów pokazał cały prawy bok swego olbrzymiego cielska. W tym czasie miałem sposobność posłać mu jeszcze 3 kule, a nim zdołałem drugi magazyn włożyć do karabina, łoś się zwalił, charczał kilka sekund, grzebał badylami po kamieniach, ale i to prędko ustało: olbrzym nie żył. Podszedłem do niego i wierzaj mi — łaskawy czytelniku — byłem w niebie!

Policzyłem końce na obydwu łopatach, po 9 regularnych palców, kolor śliczny, róg gruby i zdrowy od spodu ładnie perlony, symetrya wspaniała, jednem słowem pycha.

Pomyślałem sobie: niech sobie p. V. (mój sąsiad) łapie niedźwiedzia, którego mu odstąpiłem, ja jego łosia mam „przy torbie" i P. Bogu dziękuję za to.

Spotkałem p. V. w pociągu na dworcu w Kopenhadze; gdym mu rogi pokazał i opowiedział historyę niedźwiedzia i łosia na naszej granicy, powiedział mi tak: „ja za tym łosiem łaziłem 5 dni i nie mogłem go dojść, a o niedźwiedziu zupełnie nic nie wiedziałem, cieszę się, że go pan zabiłeś, ale wolałbym, gdyby mnie to było spotkało". Uwierzyłem mu w zupełności. Jechaliśmy razem z Kopenhagi do Varnemünde, a cała ta podróż bardzo przyjemnie nam zbiegła na wzajemnem opowiadaniu zdarzeń z naszych polowań w Norwegii w najbliższem sąsiedztwie, a przed kilku dniami dostałem nawet od niego pocztówkę z wcale udatnem zdjęciem jego pierwszego łosia łopataca, którego zabił w tym roku.

Pan V. był również pierwszy raz w tym roku w Norwegii, zabił łosia 12-taka i klempę jałową i ogromnie starą a tak mu się tam podobało, że na przyszły rok już sobie rewir zamówił.

Prócz opisanych już przedstawicieli fauny, znajduje się w Norwegii rosomak wilk, ryś, żbik, dużo gatunków lisów, biały zając alpejski, a z ptactwa, familia kuraków jest najsilniej reprezentowaną: żyje tu bowiem pardwa (sneehun lub ripp zwana) w ogromnej ilości, dalej mnóstwo głuszczów, jarząbków i cietrzewie, tych jednakże ostatnich jest bardzo niewiele.

Pardwy jednak i głuszce spotyka się na każdym kroku, i nie raz miałem koguta tak blisko, że kamieniem go mogłem zabić. Śliczne tu muszą być toki na wiosnę i przypuszczam, że chyba nigdzie głuszec nie jest tak silnie reprezentowanym, jak w Norwegii.

Z ptactwa drapieżnego widywałem codziennie orły, jastrzębie, krogulce, różne jakieś gatunki sokołów, kruki,

puhacze i inne gatunki sów, (te tylko słyszałem w nocy) a cała ta banda rabusiów żyje głównie lemingiem, którego się na każdym kroku spotyka.

Z wodnego ptactwa widziałem mnóstwo gatunków kaczek polarnych i rozmaitych nurów na moich jeziorkach, lecz wody wszystkie otwarte, i do strzału prawie niepodobna dojść; zabiłem tylko na dwa strzały trzy jakieś duże kaczki, które zapadły na jezioro pod mojem oknem. Na fiordach spotykałem wszędzie tysiące kaczek erdredonowych, których nigdy strzelać nie wolno, mnóstwo nurów i nurków i różne gatunki ptactwa arktycznego, o których nawet nigdy nie słyszałem. Jedno i drugie polowanie może być dla myśliwego śliczną rozrywką, lecz obydwa razem pogodzić się nie dadzą; łoś niepokojony gęstem strzelaniem wędruje w strony spokojne i z tego powodu śrótówka moja spoczywała ciągle na ścianie i prócz dwóch strzałów do kaczek i jednego do orła nie spotrzebowałem ani jednego śrótowego naboju, chociaż mię nieraz ręka świerzbiała zabić głuszca, którego dotąd nie mam jeszcze w mojej kronice myśliwskiej zapisanego, a którego na każdym prawie kroku spotykałem.

W niedzielę nie poluję nigdy; wierny tej zasadzie i w Norwegii 13-go i 20-go września łapałem pstrągi na wędkę i w tych dwóch dniach złapałem sam na swoją osobę 97 sztuk przeważnie dużych i ładnych, a jeśli czasem trzeba było świeżych na kuchnię, to i moja kucharka oddawała się temu sportowi.

Podróż całą odbyłem w następującym porządku: Oświęcim – Berlin (tu przenocowałem), Stralsund—Sassnitz—Trelleborg—Malmö — Christiania — Hamar — Trondhjem – Stenkjaer—Sund—Vexet – Jörem Setter, ten ostatni kawałek 13 km. piechotą i już z karabinem na plecach. Z powrotem do Trondhjem, stąd przez Storlie do Sztockholmu i tu zatrzymałem się przez 3 dni, zwiedziłem to śliczne miasto dość szczegółowo i zrobiłem kilka ładnych wycieczek w okolicę. Stąd pojechałem przez Malmö do Kopenhagi, w której zabawiłem $1\frac{1}{2}$ dnia, a stąd na Gjedser — Varnemünde — Berlin wróciłem do domu. W Gjedser trafiłem na ładną uroczystość, gdyż dnia $^{30}/_{9}$ byłem świadkiem otwarcia nowego trajektu między Danią a Niemcami w obecności króla duńskiego i ks. meklemburskiego. Od 1. października b. r. kursują zatem wagony wprost z Berlina do Kopenhagi, chociaż dwa razy przejeżdża się przez morze. Podobnym trajektem przejeżdżałem poprzednio z Stralsundu na wyspę Rügen.

Z całej moj podróży wróciłem bardzo zadowolony; zwiedziłem śliczne kraje, nigdzie nie miałem najmniejszej trudności, przeciwnie uprzejmość w Skandynawii za wzór służyć nam może. Są tylko trudności z językiem; jeszcze we większych miastach spotyka się dość ludzi władających językiem niemieckim, w głębi kraju brak znajomości języka silnie odczuwać się daje. W rewirze radziłem sobie w ten sposób, że do konwersacyi z moją służbą używałem niemiecko-norwegskiego „parlaira“ i jakoś rady sobie dawałem.

Co do wydatków połączonych z samem polowaniem, to są one wprost bajecznie niskie w porównaniu do tego, co u nas niektórzy obcy myśliwi za karpackie jelenie płacą, a szanse zabicia łosia pewne.

Przed kilku dniami przysłał mi właśnie p. Juell (od którego ja rewir dzierżawiłem) wykaz urzędowy zabitej w jego rewirach zwierzyny w czasie od 10—30 września b. r. Dwudziestu myśliwych zabiło 1. niedźwiedzia i 55 łosi — dwóch myliwych tylko wyjechało bez rezultatu; jeden wskutek choroby zaraz drugiego dnia wracać musiał, drugi niemiłosiernie pudłował.

Gdyby komuś z łaskawych Czytelników przyszła ochota zwiedzić ten piękny półwysep i zapolować na łosie, chętnie udzielę wszelkich wskazówek; przyjemniej jest w miłej kompanii podobne expedycye urządzać niż podróżować samemu, jak ja w tym roku. Zachęcony swoim rezultatem śmiało powiedzieć mogę, że jeśli żyć będę, nie byłem tam poraz ostatni.

Rzeszów w październiku 1903.

„Pour le roi de Prusse“.

Zapewne mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że od lat 34 obowiązuje u nas ustawa, która wychodzi wyłącznie na korzyść wprawdzie nie samego króla pruskiego, ale jego poddanych, a obok nich naszych sąsiadów z tamtej strony Litawy i.... Tatr.

Jest nią uchwalona przez Sejm galicyjski ustawa z dnia 19 lipca 1869 r. Nr. 26. Dz. u. kraj., której §. 1. w stylu, nawet na owe czasy pozostawiającym wiele do życzenia, postanawia dosłownie: „Zakazuje się polowania na zwierzęta alpejskie: świstaka i dziką kozę, właściwe Tatrom, lub łapania takowych. Również zakazuje się sprzedaży tych zwierząt, jako też i sadła świstaczego“.

Ustawa ta uchwaloną została bez dyskusyi na podstawie projektu Wydziału krajowego, który w motywach swego sprawozdania bardzo lakonicznie powołuje się na żądanie komisyi fizyograficznej Towarzystwa naukowego w Krakowie, oraz komitetów obu Towarzystw rolniczych i licznych Wydziałów powiatowych. Skłaniam głowę przed powagą wszystkich tych instytucyi w sprawach, które ściśle do ich kompetencyi należą, pozwalam sobie jednak powątpiewać o ich kompetencyi w sprawach łowieckich, co zresztą tem mniej może im przynieść ujmę, że w owych czasach pojęcia o racyonalnem łowiectwie były jeszcze u nas tak nie wyrobione, że nawet najpoważniejsze korporacye mogły w materyi tej mieć błędne poglądy.

Zresztą przed trzydziestu kilku laty może zakaz polowania na kozice, (o tych bowiem tylko zamierzam mówić, nie uważając świstaka za zwierzynę łowną) był do pewnego stopnia uzasadnionym, jeżeli właściciele terenów myśliwskich w Tatrach nie troszczyli się o ochronę tej zwierzyny i dozwalali swej służbie wybijać ją bez ograniczenia i bez względu na czas ochrony, lub też nie pilnowali swych terenów przed kłusownikami. I wówczas jednak zakaz taki mało mógł być skutecznym, skoro nie obowiązywał na węgierskiej stronie Tatr, a nie można było zamknąć granicy przed emigracyą kozic, które mimo ochrony na galicyjskiej stronie mają zły zwyczaj przechodzenia w jesieni na cieplejszą stronę węgierską, chociaż przytem na swej skórze doświadczają słuszności zasady, że „ignorantia juris nocet“. Dajmy jednak spokój przeszłości, a przypuściwszy nawet, że zakaz polowania na kozice w czasie, gdy go wydano, był racyonalnym i skutecznym, przypatrzmy się jego skutkom w oświetleniu dzisiejszych poglądów na łowiectwo.

Dziś wiemy, że zwierzyna rozmnaża się nie tam, gdzie się na nią poluje, lecz tam, gdzie jest prowadzonem racyonalne gospodarstwo łowieckie. Gdzie właściciel terenu nie jest myśliwym, polują za niego inni bez kontroli i bez ochrony, poluje służba na kuchnię a nie-

raz i pokryjomu na sprzedaż, polują kłusownicy, wreszcie niszczą zwierzynę czworonożne szkodniki.

Przy racyonalnem gospodarstwie łowieckiem właściciel terenu we własnym interesie stara się o ochronę zwierzyny przed dwu- i czworonożnymi szkodnikami, karmi zwierzynę, poluje w porze właściwej, ogranicza ilość ubitej zwierzyny odpowiednio do jej rozmnożenia w danym roku i doprowadza nieraz do świetnych rozkładów bez szkody dla zwierzostanu. Najlepszym tego przykładem są jelenie, które bez zakazu polowania, rozmnożyły się tak bardzo w ostatnich latach, jedynie dzięki racyonalnemu łowiectwu. W ochronie zwierzyny wymagającej i trudu i nieraz znacznych kosztów, musi mieć właściciel terenu interes, bez którego nikt kosztów i trudu łożyć nie będzie. Takiego interesu nie mogą mieć właściciele terenów myśliwskich, w których znajdują się kozice, skoro polować na nie nie wolno. Nie utrzymują straży łowieckiej, któraby była potrzebną do skutecznej ochrony kozic przed kłusownikami, a tem samem nie zapobiegają pokątnemu ich niszczeniu, które jak w Zakopanem opowiadają, podobno się na dość znaczną skalę praktykuje, a tem jest oczywiście szkodliwszem, że się odbywa o każdej porze roku i nie oszczędza ani kotnych kóz ani koźląt. A zapobiedz temu nie może czujność władz powołanych do przestrzegania ustawy, gdyż trudno wymagać od żandarmeryi, aby patrolowała na tatrzańskich wierchach, góralscy zaś kłusownicy są na tyle sprytni, że się zdobyczami swemi nie chełpią, a ślady swych trofeów myśliwskich zatrzeć umieją.

Gdyby jednak tylko o kłusowników chodziło, można by może z pozorem słuszności stawać w obronie zakazu polowania na kozice, kłusownicy bowiem, nie mając łatwego zbytu na kozice i zmuszeni do ukrywania się zbyt wielkiej szkody może nie wyrządzają.

Chodzi tu jednak o co innego. Wspomniałem już poprzednio, że kozice przechodzą w jesieni na węgierską stronę, z czego nie zaniedbują korzystać nasi sąsiedzi, którzy niewątpliwie śmieją się w kułak, strzelając zwierzynę tak starannie przez naszą ustawę ochranianą. Skutek zakazu strzelania kozic jest więc ten, że pozbawiamy się dobrolnie przyjemności polowania i materyalnych korzyści, jakie z wynajmu terenów myśliwskich uzyskaćby można, a korzyść z tego odnoszą nasi sąsiedzi z „Trans“, którym dajemy dobrowolnie jedną więcej sposobność do wyzyskiwania tej nas bliżej obchodzącej cząstki „Cislitawii“.

Czyż więc ten stan rzeczy „pour le roi de Prusse“ mamy znosić dalej, jeżeli w naszej mocy leży korzystać z tego, co nam daje we własnym kraju przyroda i otworzyć dla naszych myśliwych nowe pole szlachetnego sportu, a dla właścicieli terenów źródło pokaźnych może korzyści? Mniemam, że w kwestyi tej nie powinno być dwóch zdań, że więc musimy w interesie naszego kraju i naszego łowiectwa dążyć do jaknajprędszego zniesienia przestarzałej i nieracyonalnej ustawy.

Nadarza się zaś ku temu dobra sposobność. Na obecnej sesyi przekazał Sejm wnioski o zmianę obowiązującej ustawy łowieckiej Wydziałowi krajowemu do zbadania i przedstawienia Sejmowi projektu zmian postanowień ustawy, wymagających poprawy. W dyskusyi nad tą sprawą poruszył poseł Antoni hrabia Wodzicki kwestyę zniesienia zakazu polowania na kozice i wyraził życzenie, aby Wydział krajowy przedstawił Sejmowi w tym kierunku wnioski po porozumieniu się z Towarzystwem łowieckiem.

Poruszeniem tej sprawy w „Łowcu“ chciałem zwrócić na nią uwagę Towarzystwa łowieckiego, a nie wątpię, że Towarzystwo, tak dbałe o rozwój naszego łowiectwa, zechce się nią zająć i wystąpi wobec Wydziału krajowego z wnioskiem dla sprawy przychylnym.

Rad będę, jeżeli te skromne moje uwagi przyczynią się do tego, abyśmy już w niedługim czasie przestali pracować „pour le roi de Prusse“.

Kraków w październiku 1903 r.

Dr. F. P.



Korespondencye.

Wełdzirz, 20. października 1903.

Powiadają ludzie, że furman, który z powodu starości lub braku sił sam już powozić nie może, zajmuje się kręceniem biczów. Wyobrażam sobie wrażenie, którego ten biedny człowiek doznawać musi, skoro siedząc przed stajnią, przy tem niezbyt honorowem zajęciu, widzi zachodzącą przed ganek czwórkę, którą niestety, już nie jemu jest danem powozić. Że skutkiem tego, jeżeli choć bodaj trochę miał do swego zawodu pasyjki, zostanie z gruntu mizantropem i tylko zgryźliwość i zmysł krytyczny w nim górę wezmą, ani na chwilę nie wątpię. Nie starość lub brak sił, ale różne nieprzyjemne okoliczności, które nie pozwoliły mi brać udziału w tegorocznem rykowisku, nasuwały mi te i tym podobne porównania i myśli.

Przez lat wiele, polowania na jelenie w Wełdzirzu nie zażywały rozgłosu, jaki miały lasy Perehińska, Wetliny, Niebyłowa i innych pomniejszych rewirów. W tych dobrych czasach, nie wielkiej stosunkowo garstce wybranych, danem było rozkoszować się polowaniem, które dzięki temu, że ścieżki podchodne nie istniały, a trudności terenu były znaczne, pozwalało tym szczęśliwcom, do których i siebie zaliczam, spotykać się po bardzo mozolnem podchodzeniu, z rzadkimi okazami jeleni, którymi niejedno muzeum poszczyciłby się mogło.

Było to tak, było, ale zdaje się, że już nie wróci. Niepowściągliwość języka, ujawniająca się raportami, przesyłanymi do przeróżnych, krajowych i zagranicznych, fachowych i nie fachowych dzienników, chętka pochwalenia się nieporównanemi myśliwskiemi trofeami, a nadewszystko, owa nieszczęsna teraźniejsza mania rekordów, która sprawia, że nawet przy tak szlachetnej zwierzynie, już nie o jakość, ale o ilość ubitych sztuk chodzi, mnoży całe zastępy strzelców; wszystko to razem wzięte spowodowało, że ten cichy i mało znany myśliwski zakątek, zaczął coraz to więcej słuszną rozbrzmiewać sławą i że baron Popper, który sam nie będąc myśliwym, tak dalece posuwał swoją gościnność i uprzejmość, że pomimo świetnych ofert nigdy nie chciał wynająć swego polowania, żeby swym stałym dawnym gościom nie uszczuplać przyjemności, tego roku zaprosił na rykowisko 22-ch myśliwych, z których jednakże tylko 16-tu przybyło.

Po wylaniu tej odrobiny żółci, czego mi zresztą nie wątpię, że żaden ze szczerych myśliwych za złe nie weźmie, przechodzę do rzeczowego sprawozdania, o tegorocznem rykowisku. Pierwszego porykującego jelenia w Wełdzirzu, słyszano już 8-go września, ale z powodu prawie letnich upałów, jelenie początkowo ryczały bardzo leniwie, zaczynając późno w nocy i przestawały z pierwszym brzaskiem dnia — i dopiero po 15-tym, wskutek kilku mroźnych dni, a szczególniej nocy, rozryczały się w całej pełni i jak mi mówili pobereźnicy i niektórzy z myśliwych, dawno już nie było tak nieprzerwanie ciągłego i pięknego rykowiska.

Poniżej podaję spis ubitych, chybionych i niestety postrzelonych jeleni; na zakończenie zaś dodać muszę, że z wyjątkiem 20-taka hr. Alwenslebena i 16-taka pana Berwida, których rogi niezwykle są piękne, reszta rogów, które widziałem, nie przedstawia nic wybitnego i szczególniej po tak łagodnej zimie i możności wynalezienia karmy dla jeleni, powiedziałbym, że są słabsze niż zwykle w tutejszych stronach. Oczywiście, ale to tylko pod sekretem powiem, że wszystkie chybione i postrzelone jelenie były kolosami, szkoda tylko, że się to bardzo trudno da skontrolować, a gdyby nawet i tak było, to tylko tem większy wstyd i zgryzota dla odnośnego myśliwego.

	Rewir	Zabił	Chybił	Postrzelił
Ekscellencya Weede	Świca	12-taka i 16-taka		
Maurycy Weede	„	10 „ „ 14 „		
P. Starosta Marek	Beskid	0	0	18-taka
Hr. Jan Stadnicki	Prawicz	10 „ „ 12 „	1	
P. Berwid	Starecki	16 „		
Hr. Scher-Toss	Kruhła	12 „ „ 8 „		
P. Rossipal	Ludwikówka	12 „		
P. Blume	Horbek	12 „	„ 1	
P. Löty	Wyszków	0	0	0 „
P. Stock	„	12 „		10 „
Hr. Alwensleben	Krywy Werch	20 „	1	16 „
Bar. Pritwitz	Beskid	0	1	
Dr. T. Sołowij	Żakla Łysa	12 „	1	
P. Hirsch jun.	Kruhła	0	5	
P. Gothelf	Megła	0	0	0
P. Simon	Czarny Horb	0	0	0
Hr. F. Zamoyski	Tomnatyk	0	1	
		14	11	3

8-ak	1
10-tak	1
12-taków	7
14-tak	1
16-taków	2
20-tak	1

Stefan Sembek.

Lwów w październiku 1903.

Wróciwszy z wycieczki w góry z dwoma wieńcami ubitych pierwszych w życiu jeleni, miałem dużo do opowiedzenia, przebyte wrażenia rwały się po prostu na światło dzienne i żal je było przysypać szarym popiołem codziennych zajęć. A jeżeli mimo to nie posłałem zaraz po powrocie korespondencyi do Łowca, to tylko dla tego że olśniły mnie relacye o rezultacie polowań w Perehińsku, Jasieniu, Skolem, Smorzu it.d. i cała moja duma i radość ze zdobycia dwóch pierwszych jeleni, wydała mi się mniej godną publikacyi.

W ostatnim numerze Łowca narzeka Szanowna Redakcya na brak korespondencyi, niechże więc i moja skromne opowiadanie stawi się do apelu, choć może niejedno sumienie tymczasem przemówiło i nie jedna korespondencya leży już w tej chwili na stole redakcyjnym.

Coroczni uczestnicy górskich łowów wracają na nie z rozmarzoną wspomnieniami poprzedniego roku głową, spieszą z wzrastającą pasyą na dni najwspanialszej w roku myśliwego biesiady, a cóż dopiero mówić o uczuciach nowicyusza, dla którego rykowisko było od wielu lat niepodobnem do urzeczywistnienia marzeniem, który się rwał oddawna, a nareszcie poraz pierwszy wyrwał od zawodowej pracy, słuchał w dzikim ostępie pierwszy raz potężnego ryku jeleni i pierwszy raz nie z laską turysty, ale ze sztućcem na ramieniu znalazł się w górach.

Dzięki uprzejmości właścicieli miałem pozwolenie na rykowisko w Lubieńcach koło Skolego i na dwa jelenie w sławnym Wełdzirzu, niestety jednak zarazem nie wiele wolnego czasu do dyspozycyi i mogłem odbyć w Lubieńcach, tylko dwa ranne i dwa wieczorne a w Wełdzirzu tylko siedm podchodów.

Lubieńce to dopiero podgórza Karpat, teren jednak miejscami bardzo trudny, wśród rewiru, mnóstwo łąk i pastwisk chłopskich, a stąd trochę zawiele ruchu, choć zbiór siana skończony i pasącego się bydła nie widziałem. Mimo to w ciągu dwóch dni widziałem kilkanaście sztuk jeleni, ryczały jednak słabo i przeważnie późno wieczór, gdy o podchodzeniu nie mogło być już mowy. Wśród takich warunków, słabą miałem nadzieję spotkania się na strzał z grubym jeleniem, a jednak szczęście mi dopisało.

Drugiego dnia pobytu, po dwugodzinnym marszu, odpoczywaliśmy wieczorem z leśniczym na otwartym zrębie, czekając pierwszego ryku. Po chwili po drugiej stronie zrębu w wysokim lesie odezwał się jeleń, a na ten głos słyszany pierwszy raz w życiu z bliska, miałem uczucie, że mi ktoś nagle wszystkimi nerwami targnął, że nie dość świeżego powietrza dokoła, aby z pełnej piersi odetchnąć i dopiero po dobrej chwili przyszedłem do równowagi.

Ponieważ jeleń nie mógł się zdecydować na to, aby na zrębie się ukazać, udało mi się przejść ścieżynką przy dobrym wietrze przez całą szerokość zrębu i znalazłem się nie dalej jak na 100 kroków od jelenia. Porykiwał zrzadka, słyszałem jego stąpanie, słyszałem trzask gałęzi, które ocierając rogi z krzaków obłamywał, niestety jednak pozostał w gąszczu niewidzialny, a po pół godzinie próżnego wyczekiwania i emocyi oddalający się ryk i trzask gałęzi zwiastowały, że jeleń pociągnął w głąb lasu. O podchodzeniu w wysokim lesie, w obec posuchy, nie można było myśleć, postanowiliśmy więc przeciąć jeleniowi drogę i próbować z nim spotkania na dwóch dalszych zrębach leżących w kierunku, w którym odszedł. Po forsownym, pośpiesznym chodzie, znaleźliśmy się na zrębie położonym na stromej pochyłości. Krótki przegląd przez szkła niczego nie zwiastował, choć cały dół zrębu był dla nas niewidzialny, przeszliśmy więc pospiesznie na druga stronę, aby stamtąd całą odkrytą przestrzeń skontrolować.

W chwili, gdyśmy już dochodzili do wysokiego lasu posłyszałem poniżej nas na zrębie, jakby trzaśnięcie gałęzi, skryłem się za najbliższy świerk, a prawie równocześnie zobaczyłem idącą wolno ku lasowi łanię, za nią drugą i trzecią, a w końcu wynurzające się z traw i malin wieńce jelenia.

Całe to towarzystwo defilowało przedemną na 120 kroków a trawy i krzaki zasłaniały mi je tak, że widziałem tylko szyję i górę grzbietów. W jednem tylko miejscu była wąska luczka, w której po kolei widziałem cały korpus przechodzących łań, złożyłem się więc w to miejsce i w chwili, gdy przód jelenia się przesuwał strzeliłem. Po strzale widziałem tylko jak wieńce zapadały w trawy, trzask i łomot uciekających łań przebrzmiał w krótce a tylko kilkakrotne trzaśnięcie gałęzi w miejscu strzału zwiastowało mi, że jeleń leży.

Zrozumiałem wówczas uczucia nieboszczyka, Podbipięty, przed którym według słów Sienkiewicza, otwarły się niebiosa, gdy na wałach Zbaraskich ślubowane trzy głowy potoczyły mu się pod nogi. Nie wyśmieją mnie chyba koledzy w św. Hubercie, gdy otwarcie przyznam, że nie byłem w stanie zrepetować mego Schönauera, i trząsłem się przez chwilę, jak w febrze zanim zdołałem wyrzucić wystrzelony nabój i z gotową do strzału bronią podszedłem do jelenia. U nóg moich leżał duży dwunastak (gdy szedł, miałem go za dziesiątaka) kula ekspanzywna z Schönauera trafiła w komorę i wyszła drugą stroną. Dwunastak tylko, to prawda, ale tych moich pierwszych wieńców nie oddałbym za żadne inne, i żaden już chyba tryumf myśliwski w życiu nie sprawi mi takiej radości.

Ciemno już było zupełnie, gdy odciąwszy głowę wyruszyliśmy z powrotem, silny wiatr gasił nam co chwila latarkę i z wielką biedą po trzygodzinnym marszu dotarliśmy do koliby, przewracając się i błądząc.

Dokuczył mi potem nieraz ten powrót po nocy do koliby, ale wtedy byłbym bez zmęczenia eskortował jeszcze dłużej pierwsze zdobyte wieńce.

Ostatniego ranka w Lubieńcach podszedłem na niespełna 200 kroków pasącego się na łące szóstaka i dwie łanie, obserwowałem je dłuższy czas przez szkła, a gdy mnie nareszcie zobaczyły, odskoczyły w las, a zgniewany szóstak straszył mnie przez dłuższy czas, z krzaków nie wiele silniejszym od rogacza barytonem.

Po tym ostatnim podchodzie, po męczącem zejściu w dół i trzygodzinnej jeździe trzęsącym wozem, a następnie koleją, przenocowałem w Stryju a rano wyruszyłem do Wełdzirza. O czwartej po południu byłem już w przeznaczonym mi rewirze, leśniczy przed wyruszeniem w górę, zapowiedział mi obok innych wysłuchanych jeleni. olbrzymiego czternastaka o niezwykłych rogach, gramoląc się więc z mozołem pod górę, myślałem wciąż o tym jeleniu.

Wodził mnie ten jeleń za sobą przez dwa całe dnie. Pierwszego zaraz wieczora, miałem go nie dalej jak 200 kroków od siebie, ryczał na samym kraju lasu przy grzbiecie góry, którym wracałem do koliby — niestety jednak było już za ciemno. Cały wieczór do późna słyszałem go z koliby — rano odezwał się ledwie kilka razy a wszelkie próby podejścia nie udały się, bo gdyśmy drapiąc się z potoków w górę myśleli, że go będziemy mieć tuż, on odzywał się zawsze gdzieś z boku, w dole lub nad nami.

Wieczorem drugiego dnia spotkałem idąc zrębem dużego ósmaka, o wysokich, ale cienkich wieńcach — skryłem się w porę i przeszedł spokojnie obok nas, nie dalej jak na 100 kroków, a że szedł w kierunku miejsca, gdzie nasz gruby jeleń rano porykiwał, poszliśmy tropem. Po chwili usłyszałem rozgniewany bas naszego dziadzia i cieńszy głos widzianego przed chwilą ósmaka, puściłem się więc pędem, a żem karku nie skręcił, nie wiem jak się stało, po chwili usłyszałem trzask uderzających o siebie rogów, znowu ryk, potem znowu uderzenia rogów. Byłem nie dalej od jeleni, jak na dwadzieścia kroków, ale nic nie widziałem; po chwili mignął mi ósmak, który rycząc uchodził odbity w górę, a zwycięsca zamilkł jak zaczarowany i mimo dłuższego podchodzenia i nadsłuchiwania, aniśmy go nie widzieli, ani usłyszeli.

Następny ranek przyniósł mi wiele emocyi, ale też ciężkie chwile; było jeszcze zupełnie ciemno, gdyśmy już byli w lesie i czekając aż się zacznie rozwidniać, usiedli na kłodzie. Po chwili przerwał ciszę ryk grubego jelenia przed nami, a po nim ze wszystkich stron zaczęły się odzywać w oddali potężne ryki. Zaczęło się o tyle rozwidniać, że mogliśmy powoli podchodzić i przysunęliśmy się z dobrym wiatrem na niespełna 100 kroków do ryczącego, z krótkiemi przerwami jelenia. Było jednak jeszcze tak ciemno, że wśród gęstych świerków i jodeł nie mogłem jelenia zobaczyć, choć zdawało mi się, że jego oddech mnie dochodzi, gdy ryczał. Schowany za świerkami czekałem aż się rozwidni, po chwili mogłem już odróżnić kontury i widziałem pasącą się obok jelenia łanię, próbowałem się złożyć, ale muszki nie widziałem. Chciałem jeszcze czekać, ale niestety dałem się skusić prowadzącemu mnie gajowemu, który mi wciąż szeptał, żebym strzelał, bo nas jelenie zwietrzą. Zmierzyłem się więc, mierząc wysoko w komorę do stojącego mi na połeć jelenia.

Niestety jednak szukając niewidzialnej jeszcze muszki, musiałem podnieść koniec lufy za wysoko, bo po strzale usłyszałem tylko trzask uciekających jeleni, a po chwili widziałem w górze na odkrytym jasnym, bo zwróconym ku wschodowi zrębie umykającego jelenia o wspaniałych wieńcach. Myśliwi, którzy mają liczne z polowań jelenich doświadczenia potrafiliby, a potrafię i ja w przyszłości nakazać milczenie złemu druhowi w postaci gajowego, co w decydującej chwili do ucha szepce i do strzału namawia, owego ranka jednak byłem uboższy o jedno doświadczenie myśliwskie i straciłem wspaniałego jelenia, którego w pięć lub dziesięć minut później byłbym z pewnością zabił.

Zgórowałem go niewątpliwie a dodam, szczęściem nie postrzeliłem — przeszukałem dokładnie miejsce strzału i tropy; po południu powtórzyłem poszukiwania z psem od leśniczego sprowadzonym i przyznaję, że lżej mi się zrobiło, gdym się upewnił, że jeleń zdrów zupełnie poszedł.

Wieczorem przeniosłem się na sąsiednią górę, gdzie dniem przedtem ryczały dwa grube jelenie i spędziłem noc przy ognisku pod gołem niebem.

W czasie wieczornego podchodu wodził nas po wertepach ryczący jeleń, a gdyśmy wrócili do ogniska, opowiadał nam szwab, który niósł rzeczy i rozkładał ogień, że naokoło niego ryczały cztery jelenie, jednego widział a myśmy tego wszystkiego nie słyszeli zeszedłszy za ryczącym jeleniem w głęboki parów. Zasypiałem z pełną na ranek nadzieją, bo w ciągu wieczora dwa jelenie porykiwały, na kilkaset kroków od ogniska. Nad ranem spadł szron na górze, gdzieśmy nocowali, trawy białe były zupełnie, a jelenie milczały, zapewne pociągnęły w dół tam, gdzieśmy napróżno kręcili się wieczorem i gdzie nie było przymrozku.

Po tej nieudanej wyprawie zmęczony nad wszelki wyraz i zmartwiony, bo zostawał mi jeszcze tylko jeden wieczorny i jeden ranny podchód, wracałem do koliby

i już po jedenastej szedłem grzebieniem góry. Po obu stokach grzbietu spadała łąka na jakie pięćset kroków w dół, do zwartego lasu. Jelenie naturalnie od dawna milczały; naraz w dole odezwał się potężny ryk grubego jelenia, a po chwili usłyszałem drugiego i zdawało mi się że oba głosy zbliżają się do kraju łąki i do siebie. Puściłem się pędem w dół i za stożkiem siana przystanąłem — w tej chwili usłyszałem uderzenia rogów i ryk obu bijących się jeleni prawie na kraju lasu, a po chwili jeden z nich wyskoczył na łąkę i miał widocznie zamiar atakować znowu stojącego w lesie, a dla mnie nie widzialnego rywala. Nie było czasu do stracenia, strzeliłem więc, a po strzale jeleń przystanął, zwinął nogi pod siebie i runął na bok — próbował jeszcze wstać, ale nie mógł, bo kula strzaskała mu stos pacierzowy nad komorą.

Miałem ochotę ucałować mego Schönauera; strzelałem bez lunety, a od miejsca strzału odliczyłem 263 kroków.

Nie mam się wcale za nadzwyczajnego strzelca i dlatego oba zabite jelenie mam do zawdzięczenia przedewszystkiem niezwykłej dokładności i dobroci broni, przy której po prostu nie ma odległości i strzela i trafia się taksamo na 50, jak na 200 kroków.

Miałem przytem tę satysfakcyę, że oba jelenie zostały na miejscu w strzale.

Drugi ten jeleń czternastak o wysokich i grubych wieńcach żył jeszcze, gdy do niego zbiegłem i musiałem go dobić.

Wieczorny podchód tego dnia nie udał się zupełnie nie miałem w pobliżu ryczącego jelenia -- rano ostatniego dnia podszedłem ryczącego jelenia, który zwolna szedł ku mnie, w krytycznej jednak chwili, gdy jeleń wychodził z gąszczu na jaśniejsze miejsce, ruszył się stojący za mną gajowy, a jeleń, który ten ruch spostrzegł, lub może nas zwietrzył, zawrócił na miejscu i znikł nam zupełnie.

W południe znalazłem się już w leśniczówce na dole, zmęczony i niewyspany, ale schodziłem z prawdziwym żalem i po prostu nie chciało się rzucać koliby i dogasających przed nią resztek ogniska.

Myślę, że to wszystkim tak niesporo rzucać góry, że po prostu nie można się nasycić wrażeniami, jakich tam się doznaje.

Obok cudnego powietrza, obok rozległych widoków, nęcą i przykuwają do siebie wrażenia, jakich gdzieindziej myśliwy nie może doznać.

Siedząc wieczór na kłodzie przy ognisku słuchałem chwilami ryku kilkunastu naraz jeleni, a potężne ich głosy szły kilometrami po górach, łamiąc się echem o skały.

W czasie podchodów ruszałem co chwila słonki i jarząbki, jednego dnia tropiłem na bagnistym terenie rysia i wilki, a wieczór po ciemku wracając do koliby spotkałem na ścieżce odyńca.

Stał przedemną może na dziesięć kroków i kłapał zgniewany, zdaje się w nadziei, że mu z drogi ustąpię. Niestety było tak ciemno, że go nie widziałem i nie mogłem strzelić.

Ile to wrażeń w ciągu kilkudniowego pobytu, a choć chwilami tchu w ciężkim terenie nie staje i nogi doprawdy odmawiają posłuszeństwa, jeden ton ryku jelenia o wszystkiem każe zapominać, a jedno szczęśliwe z tym królem gór spotkanie wynagradza wszystkie trudy, zmęczenia i niewygody.

W końcu przepraszam łaskawych czytelników za rozwlekłe opowiadanie — zrozumieją mnie jednak przedewszystkiem ci myśliwi, którzy na jelenie polowali, bo wiedzą, że odniesione wrażenia wpijają się tak głęboko w duszę, że pisząc, wszystkie chciałoby się powtórzyć, a tymczasem zamierzona krótka korespondencya rośnie wbrew woli, z krzywdą cierpliwych czytelników do zbyt wielkich rozmiarów.

Władysław Sołowij.

Laszki zawiązane, 15. października 1903.

Donoszę o rezultacie polowania w siedm strzelb: padło 11 słonek, 4 kuropatwy, 3 lisy, 15 zajęcy.

Wojciech Szczepański.

Bursztyn, 17. października 1903.

Dnia 16. bm. odbyło się przy pięknej nader pogodzie w lesie bursztyńskim, rewirze „Nastaszczyn" w dobrach ks. Jabłonowskiego, pod przewodnictwem podpisanego, polowanie w 6 strzelb. Ubito 2 lisy, 1-go rogacza, 9 zajęcy, 7 słonek. Dwóch przygodnych myśliwych, w postaci pięknych kundysów spotkanych w rewirze na łowach, „na własny rachunek", ukarano na miejscu sądem doraźnym.

Stan zajęcy w rewirze „Nastaszczyn" zwiększa się systematycznie. Od kilku dni mamy słonki, na które dzisiaj tj. 17. miano powtórnie zapolować, czemu jednak nagła zmiana pogody stanęła na przeszkodzie.

Przyszłe większe polowanie odbędzie się się w rewirach Junaszków i Korytyska, o przebiegu których szanowną Redakcyę zawiadomię.

Feliks Szemacki
leśniczy.

Rożniatów, 19. października 1903.

Dnia 12. października odbyło się małe polowanko w 6 strzelb, w lasach ordynacyi Zarzecze w rewirze Wola, na słonki i lisy. Rok obecny jest bogaty w śliczne długodzióby, przynajmniej o ile wnioskować można z ciągu w naszych stronach, który zwykle bywa bardzo ubogi. Strzelanych było conajmniej dwadzieścia, padło jednak tylko pięć, a to z tego powodu, że wszyscy wogóle za mało mamy wprawy w strzelaniu do tej uroczej ptaszyny. Lisów zabiliśmy trzy, ale ile poszło chybionych, to wspominać nie warto, niżej podpisany ma na sumieniu sam pudło do chytrego mykity na dwa kroki, to jest na szerokość wąziutkiej linii.

Jeden z uczestników, (nomina sunt odiosa), strzelał dnia tego do pięciu, w jednym zaś miocie widzianych było dziesięć. Prócz lisów i słonek widzieliśmy dosyć sarn i zajęcy, ale oczywiście tylko w miotach bliżej pola, gdzie lisów nie było. W lesie wolańskim najlepiej można się przekonać, czem jest lis dla zwierzostanu i stanowczo dopóki nie ogłoszą tam przeciw niemu krucyaty, to pomimo długoletniego szanowania zwierzyny, polegającego na niepolowaniu, ładnego stanu się niedoczekamy. Stan sarn jest wprost zdumiewający, już obecnie, gdy jeszcze głód nie wygania ich z lasów, narachować mogę na mięszance mojej posianej jako zielony nawóz po czterdzieści kilka sztuk w jednym rudlu, pomimo tego, że ostatnia zima dobrze się im dała we znaki, bo spotykano po kilka sztuk przemarzniętych.

Stan kuroparw bardzo średni, pomimo, że przez całą zimę sypałem im po remizach poślad i widywałem dużo parek na wiosnę. Mokra pora w czasie lęgu wygubiła młode, tak, że obecnie spotkać można stadka złożone ze samych starych kuropatw, czyli, że jesteśmy po prostu tam, gdzieśmy byli w roku przeszłym o tym czasie. Przepiórka zdaje się w krótkim czasie należeć będzie do mytu dzięki chciwości południowców, bo w tym roku chodząc dosyć dużo z psem po łąkach i burakach, trzy tylko widziałem, z czego dwie zabiłem. To też nic dziwnego, że nie używszy na polowaniu na ptaszki, każdy z niecierpliwością oczekuje, co mu też sezon polowań zimowych przyniesie. *Adam Łastowiecki.*

W Uhryniu, 20. października 1903.

Nie sztuka tym szczęśliwym delegatom, którzy obfitują w rozmaitego rodzaju polowania a w dodatku św. Hubert darzy ich spotkaniem, napisać sprawozdanie do *Łowca*, wstęp z miłej podróży naszą lokalką miłą, miłe przyjęcie zacnych gospodarstwa, miłe wspomnienie ubitych kilku rogali, niewygody (?) kilku cudownych nocy w kolibie przespanych, spowodowanych wielkiem poświęceniem w chęci usłyszania czarownej muzyki naszego króla gór, ot i wszystko. Pisz tu delegacie czortkowski po takiej biesiadzie myśliwskiej swoje sprawozdanie! O, gdyby nie ten dzisiejszy deszcz, któryby mógł o kilka tygodni wcześniej spaść na naszą pszeniczkę, żadna siła nie skłoniłaby mnie na narażenie się zabierania miejsca w *Łowcu*. Ta posucha strasznie dokuczyła nawet myśliwemu, polowaliśmy w dwie strzelby w Czarnokońcach na kuropatwy, psy nasze mimo dobrego wiatru w zwykłych warunkach, gubiły ciągle kuropatwy, to też rezultat 5-cio godzinnego chodzenia, było 19. kuropatw, mimo wielkiej obfitości, zwłaszcza w Czechowie, gdzie eldorado zimowych polowań na zające i na kuropatwy rywalizować może z niejedną knieją. Nic w tem dziwnego, przez cały czas widziałem jedynego jastrzębia i to nie na strzał. Nikt jeszcze nie poruszył kwestyi, o ile strzelona kula do jastrzębia w lot, spadając w linii pionowej, mogłaby być jeszcze niebezpieczną, a tak chętnie nieraz strzeliłoby się za rabusiem z broni małokalibrowej.

Od kilku lat istnieje w Czortkowie Tow. łowieckie, posiadające wszelkie warunki do dobrego istnienia, bo i członkowie dobrzy myśliwi, dbający o rozwój Towarzystwa i podniesienie stanu zwierzyny i ma rewiry ładne. Niestety trudności, na jakie natrafia w powiększeniu terenu łownego a tem samem w utrudnieniu kłusownikom wykonywania swych praktyk niszczenia co się trafi, napotkało Towarzystwo na dziwnego rodzaju niepowodzenie. Chodzi o polowanie w dobrach Szmańkowce, wł. OO. Dominikanów. Towarzystwo, graniczące swoim najętym już terenem ze Szmańkowcami, za jakąkolwiekbądź cenę, chciało dokompletować swój teren, ofiarowując czynsz we formie monety lub zwierzyny, ale OO. nie chcą. Mój teren myśliwski graniczy również z jednej strony ze Szmańkowcami. Biedny ten zajączek, który wyjdzie z mego lasu i idzie z wizytą odwiedzić sąsiada pustelnika w Szmańkowcach, o! bo tu w tym lesie za mało mieszkańców, żeby mógł liczyć na raut, liczniejsze zebrania tutaj się nie odbywają, on tu sam! w legowisku swem siada, łzawem okiem patrzy w stronę Czortkowa a ufny w lepszą przyszłość, łączy się z chórem i śpiewa „od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie“.

Na jelenie wiernie jeżdżę już piąty rok na Bukowinę, śladów widzę dużo a możliwego spotkania ani rusz. W tym roku jeździł ze mną sąsiad mój L. H. i to po raz pierwszy na rykowisko. Co robił przed wyjazdem tego nie wiem, bośmy się zjechali w drodze, dość, że drugiego dnia echo jego Manlichera usłyszałem, a wkrótce potem podziwiałem szesnastaka, którego mu św. Hubert na strzał posłał. Śliczna to górska knieja, ale kłusowników więcej, niż u nas na Podolu.

Raz już poruszałem piekącą kwestyę kłusowników i śmiem raz tu jeszcze podać najskuteczniejszą radę; kołatajmy do władz przez naszych posłów, z których przecież wielu jest myśliwych, niechaj sprzedaż prochu odbiorą z rąk sklepikarzy a oddadzą w ręce więcej powołanych, np. c. k. Starostwu, a kłusownicy pewnie staną się nieszkodliwymi łowiectwu. *Tadeusz Potocki.*

Rzeszów, d. 25. października 1903.

Korzystając z łaskawego zaproszenia pana Jaworskiego, zapolowaliśmy we trzy strzelby na jego terytoryum, w Woli Rafałowskiej, w pierwszej połowie miesiąca października. W niespełna 4 godziny padły 4 zające i tyleż słonek. Tutaj to spotkaliśmy się z nadzwyczaj miłą dla nas niespodzianką. Pod sam wieczór strzeliłem słonkę, na ciągu; podczas gdy dla mojego brata św. Hubert okazał się o wiele hojniejszym — po raz pierwszy bowiem zastrzelił trzy piękne a silnie oblane słonki. Nadto tu i ówdzie w mniejszych laskach napotykała pogonka na poszczególne słonki, które jednakowoż nie przyszły nam na strzał. Przytoczyć mi wypada na chlubę właściciela tegoż polowania, iż tyle długodzióbych ptaków na ciągu jesiennym, co w tej okolicy — w innych stronach powiatu rzeszowskiego, nie widzieliśmy w zeszłych latach. Kolacya przy wyśmienitym bigosie i nader ożywionej pogawędce minęła, jak sen zwodniczy, czy jednak jeszcze kiedyś wróci — pytanie to mogę jedynie zostawić czcigodnemu gospodarzowi do rozwiązania.

W końcu nadmienić muszę, że tych kilka chwil, tak wesoło spędzonych na polowaniu, jakoteż w prawdziwie staropolsko-gościnnym domu poczciwego gospodarza — będzie dla nas miłą wiązanką ubiegłych wspomnień, 10. października 1903 r.

Bronisław Kocól.

Dublany, 27. października 1903.

Tralarum! Milkną już liczne strzały, ale nie milkną liczniejsze jeszcze opowiadania o cudownym tegorocznym ciągu naszych miłych długodzióbów. Ja niestety skonstatowałem tylko fakt, że trzeba było albo bardzo pilnie dzień w dzień na słonki polować, aby na najlepszy ich ciąg natrafić, albo też szczególnem przedmiotem łask bogini naszej Diany być, aby przypadkiem właśnie w najstosowniejszym czasie w lesie się znaleść. I jedno i drugie, ideał nie do osiągnięcia. O ile o moje uszy się odbiło, był tegoroczny ciąg słonek bardzo nieregularny. Już w pierwszej połowie września dochodziły głuche wieści o słonkach ciągnących, zabitych, ale potwierdzenia ich i bliższych szczegółów w „Łowcu“ jeszcze nie było, a i po tych wieściach nastąpiła cisza, zdawało się, że już po ciągu. Nagle, 10. października, przyjechawszy do Laszek, zastaję alarmującą wiadomość z Jaryczowa, że słonki w takiej ilości poprzedniego dnia były, jakiej od dawna nie pamiętano i to wszystkie duże, wolno się zrywały i leciały przed nagonką, dwie zaś padły. Zbieramy się

więc, a że 11. bm. niedziela, w poniedziałek więc dopiero znajdujemy się w lesie jaryczowskim, lecz zmieniona całkiem sytuacya: zimno, wiatr, słonek zaledwie kilka i to małe, szybko ciągnące, tak że ledwo można było strzelać na linii. Przez cały dzień w cztery strzelby padło ich dwie i lis, podziwialiśmy za to ilość sarn i kozłów, przeważnie z dużymi rogami. Toby był jeden pech nie zastania słonek w poniedziałek, mimo, że ich w sobotę tyle było, mimo, że w niedzielę, (o czem zapomniałem wspomnieć), w Laszkach w ogrodzie na przestrzeni dziesięciu może m. spotkano ich dwanaście. Nie ma więc słonek, już po ciągu. A szkoda, bo 20-go mamy polować w Zagrobeli. Tymczasem znowu się robi ciepło i 16-go spotykam ich trzy w malutkim lasku dublańskim. Kiedy już wspomniałem o lasku dublańskim, muszę zanotować jeszcze jedno ważne i dziwne zdarzenie, które miało miejsce w Dublanach: ażeby długo się nad nadzwyczajnością tego wypadku nie rozwodzić, przystępuję od razu ad rem: Otóż dnia 15. października padła na terytoryum Dublan kuropatwa; tak jest, to nie humbug. Może to potwierdzić całe towarzystwo myśliwskie w Dublanach: 15. paźdz. padła kuropatwa, jako pierwsza sztuka zwierzyny łownej, od czasu utworzenia się towarzystwa, t. j. od roku. Ale wracam do słonek, do naszego na nie polowania w Zagrobeli i...

..si tantus amor nostros meminisse labores incipiam...

Pełni otuchy jedziemy do Tarnopola, ale chmurzy się, robi się chłodno, a od Złoczowa zaczyna deszcz padać. Trudno już się wracać. Na drugi dzień może lepiej będzie. Pierwszą też zaraz czynnością rano było zaglądanie do okna, ale widok wcale nie pocieszający: ciemno, kapuśniaczek pada. Cóż robić! Zbieramy się i jedziemy do lasu, tam zastajemy jeszcze ładniejszą sytuacyę: gajowi i pięciu chłopców, a tu deszcz coraz większy; po długich debatach, przemogła szalona chęć polowania; posyłamy fury do wsi a sami bierzemy pierwszy miot; dwunastu myśliwych, pięciu nagonki: pada jeden zając; w drugim miocie zając i słonka, w trzecim kozioł a na czwarty dostaliśmy już dostateczną ilość nagonki. Mimo tego trzeba było być, (jakeśmy później orzekli), conajmniej waryatami, aby na taki czas polować; deszcz lał cały dzień, naturalnie odrazu zaraz w pierwszym miocie wszyscy pomokli do nitki i tak chodziło się cały dzień mokro i zimno, strzelby przybrały barwę czerwoną, ładunki rozmokły. Trzeba być myśliwym, aby na taki czas polować! Słonek było dużo, ale kilka zaledwo przeszło piechotą cały miot, aby pod linią się zerwać; inne albo się nie zrywały, tylko pieszo wracały na nagonkę, albo zerwawszy się, leciały na 100 - 200 kroków nad głowami i to wiatr niemi tak nosił. Lisy w jamach; sarny szły na nagankę a do tego trzeba doliczyć wiele się na taki czas nachybiało. Zawsze jednak padło 6 słonek, 5 kozłów i 18 zajęcy.

Kozłów widziano dużo i dużych, ale wszystkie prawie już bez rogów a tylko słabsze z rogami. Sarn naturalnie, jak zawsze w Zagrobeli, pełno w lesie i w polu.

Po drodze do domu były jeszcze i inne wypadki, n. p. rozsypanie się koła u wozu i jazda arcyprzyjemna na samym dzwonie aż do Tarnopola. — Na drugi dzień budzimy się: śnieg pada, okiść szalona i odwilż; skwitowawszy już więc z polowania i ze wspomnieniem tylko trudów poniesionych, rozjechaliśmy się.

W sobotę 24. bm. znowu były w Laszkach w ogrodzie dwie słonki. ale w niedzielę już ich nie zastałem i zdaje się, że już stanowczo „tralarum“. *C. C. G.*

Rzeszów, 26. października 1903.

Donoszę, że słonek mamy obecnie takie mnóstwo, jakiego dotąd na zachodzie nigdy nie spotkałem — kuropatw młodych wcale nie było — zajęcy stan dobry.

Edmund Rylski
delegat rzeszowski.

Lwów, d. 31. października 1903.

Byłem na polowaniu, na które się dawniej zawsze bardzo cieszyłem, a które bardzo smutne zostawiło mnie i współuczestnikom wrażenie. Polowanie to dawało zwykle 50—60 zajęcy i kilka rogaczy na rozkład — dzisiaj nie dociągnęliśmy nawet do dziesięciu sztuk. Przyczyną wydzierżawienie pól gminnych przez jakiegoś myśliwego ze Lwowa, który codziennie wraz z całą spółką, złożoną w celu wydzierżawienia tego polowania, poluje na polach, czatuje pod lasem i wybija dziennie po kilka zajęcy. Przy licytacyi tegorocznej, poszło to polowanie za kwotę cztery razy większą, niż dotychczas. Uznaję prawo każdego myśliwego do uzyskania, jeżeli go stać na to, prawa polowania dla siebie, — ale posiadanie prawa polowania pociąga za sobą także obowiązki, mianowicie obowiązki lojalnego współdziałania z sąsiadami w kierunku ochrony zwierzyny. Jeżeli jednak, jak tu faktycznie skonstatowano, jeden wybija zwierzynę, drugi zaś ma ją hodować, to przychodzi do tego niepomyślnego dla ogólnego pojęcia łowiectwa faktu, że i skrzywdzony w ten sposób posiadacz polowania zobojętnieje dla sprawy opieki nad zwierzyną w tym rewirze -- jeśli co gorsza, nie postanowi wybić do nogi zwierzyny w swoim rewirze, aby nie oddać jej na pastwę miłemu sąsiadowi. Ustawa łowiecka ma uledz rewizyi — czyby nie było rzeczą wskazaną, żeby pomieszczono w niej postanowienie, zgodne zresztą z duchem ustawy, iż dzierżawca polowania, który tylko poluje a nie hoduje, traci prawo dzierżawy. Pokrzywdzeni sąsiedzi postaraliby się w każdym wypadku o należyte dowody gospodarki takiego sąsiada.

S.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**